

ARYSTOKRACJA

A man in a brown tweed coat and a flat cap is standing in a park, smoking a pipe. He is looking down at his pipe. In the background, there is a large, multi-story building with a prominent tower, surrounded by trees with autumn foliage. The scene is bathed in warm, golden light, suggesting late afternoon or early morning.

POWOJENNE
LOS
POLSKICH
RODÓW

Agnieszka Lewandowska-Kąkol

ARYSTOKRACJA

ARYSTOKRACJA

POWOJENNE
LOS
POLSKICH
RODÓW

Agnieszka Lewandowska-Kąkol

ZONA ZERO

Okładka
Fahrenheit 451

Zdjęcie na okładce
Dzięki uprzejmości Jana Artura Tarnowskiego

Korekta i redakcja
Agnieszka Pawlik-Regulska, Martyna Posłuszna

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
TEKST Projekt

ISBN 978-83-948743-9-1

Copyright © by Agnieszka Lewandowska-Kąkol
Copyright © by Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca
Zona Zero Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
faks 22 877 37 34

www.zonazero.pl
e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



**NARODOWY
PROGRAM
ROZWOJU
CZYTELNICTWA**



Spis treści

Wstęp.....	7
BRANICCY	11
Szczęście można odczuć, dzieląc się nim z innymi.....	17
Radość z bycia razem.....	31
W Afryce jak w rodzinie.....	41
Wolę snobizm kulturalny	57
CZARTORYSCY	69
Górale z zamiłowania	73
Może udało mi się komuś pomóc?.....	83
Ze szklarni na dyplomatyczne salony.....	93
Być przyzwoitym człowiekiem	109
CZETWERTYŃSCY	119
Historia rodzinna z pałacykiem w tle.....	123
Chęć pomagania dostał w genach	139
DZIEDUSZYCCY.....	153
Najważniejsze, że byli razem	157
Powołanie realizować można wszędzie.....	171
Człowiek nie odpowiada za to, gdzie się urodził.....	187
Jestem człowiekiem szczęśliwym	203

KRASICCY	211
Z okupowanej Polski do Argentyny	215
Delfina i Ignacy	225
Między Polską a Argentyną.....	241
Inteligent z Powiśla	247
POTOCZY	251
Zawsze lubiła ludzi	255
Marzył o polityce	275
Na Olszy czas płynie, ale inaczej	287
TARNOWSCY.....	299
Tu jest nasze miejsce	303
Ojciec zrobił dobrze	313
Poszukiwacz minerałów na tropie rodzinnych pamiątek	325
ZAMOYSKY	341
Ciąży na nas obowiązek.....	345
Dziś, ale jakby wczoraj	367
Bibliografia	379
Źródła zdjęć	381

Wstęp

– Zero!

– Słucham?

– Chce pani rozmawiać o żyjącej dziś polskiej arystokracji?

– Tak.

– To pani mówię, że nie ma o czym, bo to zero! – stwierdziła z bezwzględną stanowczością w głosie nestorka współczesnych polskich arystokratów księżna Elżbieta Radziwiłł-Tomaszewska. Po dalszej części rozmowy telefonicznej, w której nieco udało mi się starszą udobruchać, zgodziła się łaskawie na spotkanie. Nie mieszka w pałacu, zamku czy nawet willi, ale w wygodnym i obszernym, jak na jedną osobę, mieszkaniu w bloku w warszawskim Wilanowie. Mimo ukończonych stu lat zachowała sprawność fizyczną i psychiczną, której można by życzyć każdemu nie tylko w jej, ale i w dużo młodszym wieku. Zadziwia trzeźwością umysłu, doskonałą pamięcią, zainteresowaniem teraźniejszym światem wokół oraz sprawami bliższej i dalszej rodziny. Temu nie przeszkadza powracanie do pielęgnowanej w sercu przeszłości, co w praktyce przekłada się na systematyczną, wykonywaną w konkretnie ustalonych terminach pracę nad albumami rodzinnymi, do których wkleja pieczołowicie przechowywane zdjęcia dokumentujące historię rodu. Do Polski powróciła w 1999 roku i to dziś uważa za największy błąd swego życia. Po długich pobytach w Portugalii, Anglii, Francji, na Słowacji tu czuje się najgorzej i jak twierdzi, gdyby była o dziesięć lat młodsza, szybko wróciłaby za granicę. Biegłe mówi po francusku i angielsku, naprzemiennie używając tych języków w rozmowie, dużo

gorzej, z błędami i obcymi naleciałościami, posługuje się polszczyzną. Choć jej życie z pewnością obfitowało w wiele ciekawych wydarzeń, zarówno przed drugą wojną światową, jak i po jej zakończeniu, kategorycznie, programowo nie chce o nim opowiadać. Chętnie za to, bez zadawania pytań czy namów z mojej strony, charakteryzuje żyjących dziś członków swej rodziny, nie szczędząc im słów miazdzącej krytyki, co zasygnalizowała zresztą we wstępnej rozmowie telefonicznej. Budzi się więc wątpliwość, czy rzeczywiście wierna jest moralnym zasadom postępowania obowiązującym jej sferę w czasach minionych. Lubi się do nich odwoływać, a przecież czołową pozycję zajmuje w nich norma utrwalona nawet w ludowym przysłowiu – zły to ptak, co swe gniazdo kała. Księżna, zwana przez bliskich Betką, ma poczucie wyższości wobec wszystkich spoza arystokracji, choć i ją tak negatywnie ocenia. Uważa, iż tytuły nadal winny obowiązywać, bowiem raz nadane w przeszłości mogłyby być zniesione tylko przez tych, którzy je przyznali. W jej przypadku dałoby się to tłumaczyć siłą przyzwyczajenia, choć tylko dwadzieścia osiem lat jej długiego życia przypadło na czas ich używania. Trudno jednak nie zdziwić się, gdy takich poglądów jest również ksiązę Jan Lubomirski-Lanckoroński dobiegający dopiero czterdziestki.

Na maksymę sformułowaną przez francuskiego pisarza księcia de Lévis *noblesse oblige* (fr. szlachectwo zobowiązuje) bardzo chętnie powołują się współcześni polscy arystokraci, lecz z moich obserwacji wynika, iż tylko niektórzy z nich stosują ją w codziennym życiu, bo aż wierzyć się nie chce, by mogli nieprawidłowo odczytywać jej znaczenie.

By napisać tę książkę, niezrażona szorstkością obejścia księżnej Betki i jej druzgocącą oceną ludzi, którzy mieli stać się moimi bohaterami, rozpoczęłam poszukiwania ciekawych osobowości, niezwykłych, nieprzeciętnych charakterów, wybitnych specjalistów w swych dziedzinach, postaci, których życie i działalność warte są utrwalenia na papierze, a tylko dodatkowym szczegółem, niebędącym ani ich winą, ani zasługą, jest fakt, iż urodzili się w konkretnym, w tym przypadku arystokratycznym, środowisku. Myślę, że rezultat owych dociekań prowadzi do mało odkrywczego wniosku, iż każda grupa ludzi zawiera w sobie

ogromną różnorodność jednostek, od mało wartościowych przez przeciętne po wybitne, przy czym może procent przeciętności jest w tej sferze mniejszy niż w innych.

Choć pochodzą z różnych rodów, noszą odmienne nazwiska, są właściwie jedną rodziną, bowiem podstawową, do dziś kultywowaną i wspólną im cechą jest skłonność do przebywania we własnym gronie. Stąd wiele związków zawieranych jest w obrębie ich sfery, łączą ich też przyjaźnie, wspólne cele, interesy, zamiłowania, słabości, a poza wszystkim wzajemne do siebie przyzwyczajenie i często zaufanie. Nieufni są natomiast wobec ludzi spoza ich, nie boją się tego określenia i nie używam go w pejoratywnym znaczeniu, klanu.

Łączy ich też upodobanie do ładnych rzeczy, lubią się nimi otaczać, nawet wtedy gdy owe bibeloty, rarytasy, cacuszka nie harmonizują z całością wnętrza lub wręcz z nim kontrastują. Często jest to chęć przebywania wśród rodzinnych pamiątek, co podtrzymuje więzy łączące ich z przeszłością, ale niekiedy chyba potrzeba ubarwienia szarości codziennego życia.

Książka w przeważającej części traktuje o powojennych losach polskiej arystokracji, ale nie oparłam się pokusie zahaczenia o czas wojny, bowiem właśnie wtedy niektóre z rodzin najwięcej działały dla całego narodu, wyróżniając się bohaterstwem i bezinteresownością, co miało często decydujące, najczęściej negatywne, znaczenie dla ich losów powojennych.

Zaznaczyć tu wypada, iż jest to absolutnie subiektywny wybór rodów i poszczególnych ich przedstawicieli wynikający nie tylko z autorskiej selekcji wartościującej, ale z możliwości kontaktu z bohaterami i ich przychylnego lub niechętnego nastawienia do projektu.

Z dziennikarskiego obowiązku dodać jeszcze muszę, iż materiał do napisania tej książki zebrałam przede wszystkim na podstawie rozmów z jej bohaterami oraz wydawnictw poświęconych ich przodkom. Niewielka więc była możliwość jego obiektywizacji, aczkolwiek powtarzalność faktów wymienianych w wielu rozmowach może stanowić jej namiastkę.

BRANICCY

HERBU KORCZAK



Nazwisko Branicy, co dosyć niecodzienne, wspólne było dla dwóch polskich rodzin magnackich, z których jedna pieczętowała się herbem Gryf, a druga – Korczak. Ta spod znaku Gryfa, właściciele pałacu w Białymstoku, kościoła w Tykocinie, rezydencji w Choroszczy i pałacu przy Miodowej w Warszawie, wraz ze śmiercią w 1771 roku hetmana wielkiego koronnego Jana Klemensa wygasła. W tym samym mniej więcej czasie duże znaczenie uzyskali „korczakowcy”, z dobrami w Białej Cerkwi, pod względem powierzchni porównywalnymi z obszarem Belgii, majątkiem Roś pod Wołkowyskiem i rezydencją w Wilanowie. Wywodzili się z Lubelszczyzny, a pierwsze o nich wzmianki datowane są na wiek XVI. Najbardziej znany przedstawiciel rodu – Ksawery – zdobył najwyższe godności w państwie i wielki majątek, lecz najbardziej pamiętany jest mu czyn niegodny takiego męża – współudział w konfederacji targowickiej. Jego potomkowie usilnie pracowali nad tym, by to odium z rodziny zdjąć. Wyróżnił się na tym polu wnuk targowiczana, też Ksawery, który był

patriotą, filantropem i duże sumy ze swego majątku przeznaczał na pomoc ojczyźnie. Między innymi wyłożył znaczną kwotę na wspieranie polskiej emigracji, w tym Adama Mickiewicza i utworzonego przez niego Legionu Polskiego.

* * *

Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku Mikołaj, syn Anny Branickiej-Wolskiej będącej jedną z trzech córek hrabiostwa Branickich, zorganizował wyprawę rodzinną do Białej Cerkwi i innych miejscowości związanych z polskością tamtych terenów. Osobliwością rezydencji w Białej Cerkwi był olbrzymi park Aleksandria, jeden z największych parków romantycznych w Europie, w którego pieczołowicie pielęgnowanej roślinności zatopione zostały nieduże, ale reprezentujące ciekawą architekturę pawilony. Stan nieruchomości przygnębił zwiedzających ją po latach dawnych właścicieli. Jedyną pamiątką, jaką przywieźli z wycieczki, oprócz raniących serca obrazów zniszczenia, to kilka cegieł z herbem Branickich, które udało im się wyciągnąć z błota zalegającego zrujnowane fragmenty posiadłości. W parku przetrwało wiele roślin sadzonych przez kolejne pokolenia rodu, a jedno z najstarszych, najpotężniejszych i najbardziej rozgałęzionych drzew okoliczni mieszkańcy nazywają drzewem Branickich. Żył tam jeszcze wówczas sporo ludzi pamiętających dawne czasy, a o tym, że wiadomości dotyczące przedwojennej historii tych terenów przekazywane są młodym, świadczyć może serdeczne przyjęcie, jakie zgotowano wycieczce dawnych właścicieli. Nie mogły ich nie wzruszyć słowa jednego ze starszków: „O Boże, Boże, Braniccy wrócili, znów nastaną lepsze czasy!”. Oczywiście tam, gdzie panuje bieda, zawsze tęskni się do tego, co było i idealizuje przeszłość, ale Braniccy rzeczywiście zrobili wiele dla całej miejscowości, nie ograniczając się do spokojnej egzystencji w pałacu. Wybudowali szpital, kościół, a postacią najbardziej aktywną w tej dziedzinie i dlatego do dziś szczególnie popularną pozostaje tam hetmanowa Branicka. To gorące przyjęcie dzisiejszych mieszkańców miasta

spowodowało, iż Adam Rybiński, syn Beaty Rybińskiej z domu Branickiej, nawiązał stały kontakt z niektórymi z nich, a fotografie i dokumenty przez niego im przesyłane stały się zaczątkiem kącika rodziny Branickich w tamtejszym muzeum. W wycieczce wzięło udział dwadzieścia kilka osób, ale dziś żyjących potomków rodu jest około stu, z których mniej więcej połowa mieszka w Polsce, reszta na kraj stałego pobytu wybrała Francję. Tam bowiem, w zamku Montresor nad Loarą, znajduje się zagraniczna siedziba rodziny. Przeważają w niej następcy siostry Adama Branickiego – Jadwigi. Wyszła ona za mąż za Stanisława Reya, brata ciotecznego Beaty Branickiej, a więc wszystko pozostało w rodzinie i właśnie Reyowie po Ksawerym Branickim odziedziczyli francuską posiadłość, którą w połowie XIX wieku kupiła Róża z Potockich Branicka. Miała nadzieję, że jej pełen ułańskiej fantazji syn Ksawery, nazywany „czerwonym hrabią”, za przyjaciół mający Garibaldię i wnuka Napoleona Bonaparte, usatkuje się i założy tam rodzinę. Montresorczycy są w ścisłym kontakcie z rodziną w kraju, często goszczą jej przedstawiciele u siebie, a w trudnych peerelowskich i solidarnościowych czasach pomagali im, jak mogli. W Polsce mieszkają potomkowie hrabiego Adama. Są to: jedyna żyjąca jeszcze jego córka Anna Wolska, jej starszy syn i wnuk (młodszy tu bywa, ale uważa się raczej za obywatela świata) oraz dzieci i wnuki najstarszej córki Marii i najmłodszej Beaty.

Braniccy dwukrotnie zakładali fundację. Po raz pierwszy została powołana i zarejestrowana w roku 1991, ale nie mogła rozpocząć żadnej działalności ze względu na brak przychylności, a raczej nieskrywaną wrogość przede wszystkim ze strony kierownictwa i pracowników pałacu w Wilanowie. Ta niechęć do dawnych właścicieli nie miała właściwie racjonalnego wyjaśnienia. Najpewniej była efektem systematycznego sączenia do społecznej świadomości, szczególnie w peerelowskim okresie, ale i później także, przekonania, iż Braniccy zamierzają ograbić swój naród z dóbr kultury od wieków temu narodowi przynależnych. Zupełnie nie brano pod uwagę faktu, wielokrotnie powtarzanego w licznych deklaracjach, iż spadkobiercy poprzednich gospodarzy chcą zachować przedwojenne *status quo*, czyli uczynić z Wilanowa

prywatne muzeum dostępne dla zwiedzających, tak jak to dzieje się w wielu krajach świata i w ich francuskiej posiadłości Montresor. Tam obecni właściciele zamku serdecznie witają turystów, proponując odpoczynek w zabytkowych fotelach, a chętni mają okazję grać na stojącym od wieków w salonie fortepianie.

Marzy nam się muzeum „żywe”, będące domem jego właścicieli, a nie magazynem nawet najcenniejszych, zabytkowych eksponatów dotykanych ludzką ręką tylko w celu odkurzenia

– mówi Adam Rybiński, dodając, iż on nie tylko nie ma zamiaru niczego nikomu zabierać, a wręcz przeciwnie, pragnie ofiarować narodowi swe afrykańskie kolekcje będące unikatem na światową skalę.

Tymczasem w powojennej Polsce każda okazja była dobra, by przedstawić arystokratyczne rody w krzywym zwierciadle, by je zdyskredytować czy ośmieszyć. Branicy byli pod tym względem ulubieńcami władzy. Kiedyś wieloletni kustosz pałacu w Wilanowie, oprowadzając wycieczkę, wskazał na jedną z bibliotecznych półek, gdzie znajdowało się kilka opraw książek bez zawartości i z drwiną skomentował: „Widzą państwo, arystokraci nie czytali książek, a tylko trzymali ich atrapy, by wyglądać na intelektualistów”. Miał pecha, gdyż akurat w tej grupie zwiedzających znajdował się zięć hrabiego Adama Leszek Rybiński i szybko sprostował informację: „Tak, w czasie wojny w pałacu trzymano puste oprawy, gdyż były w nich skrytki na broń”.

Swoją drogą, o stosunku kolejnych polskich władz do rodziny Branickich świadczy fakt, iż wojenne, bezsprzeczne i udokumentowane, zasługi obydwojga hrabiostwa całe lata zupełnie pomijane doceniono pośmiertnie dopiero w lutym 2011 roku, kiedy to ich wnuk mógł odebrać Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski przyznany Beacie Branickiej i Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski nadany Adamowi Branickiemu.

Oprócz owego systemowego nastawienia podejrzewaną przyczyną blokowania działalności powstałej fundacji były zdarzenia natury kryminalnej, jak choćby zniknięcie z muzeum szesnastu rękopisów

iluminowanych. Nie pociągnęło to za sobą żadnych w takim przypadku przewidzianych konsekwencji z procedurą zawiadomienia prokuratury na czele. Wnuk hrabiego Adama poświęcił kilka lat na przeprowadzenie dokładnej analizy wszelkich dokumentów wilanowskich, z której niezbicie wynika, iż postawione ostatniemu właścicielowi, hrabiemu Adamowi, zarzuty o rozrzutność i niegospodarność oraz pozostawienie majątku w stanie zadłużenia nie mają żadnego związku z prawdą. Na szkalującą dobre imię Branickich propagandę odporni byli dawni mieszkańcy Wilanowa i pracownicy zatrudniani w pałacu. Mimo niesprzyjającej aury doprowadzili do nazwania jednej z ulic imieniem ich byłego pracodawcy. Rodzina, nie oglądając się już na współdziałanie z władzami, powołała nową, własną fundację, której celem jest zajmowanie się historią rodu, wydawanie książek jego dotyczących i ewentualne zarządzanie majątkiem, który udałoby się odzyskać. Spośród nieruchomości usytuowanych na warszawskim Ursynowie kilka powróciło do właścicieli i mogli je spieniężyć. Dwie spośród nich przekazali na cele społeczne (hospicjum i Szkoła Przymierza Rodzin). Nie zdążyli sprzedać terenów pod jedno z osiedli, bowiem zrobiono to za nich i to po cenie wielokrotnie zaniżonej. Jak się okazało, miał tam zamieszkać jeden z prominentnych polityków. Po wielu latach procesowania się Braniccy odzyskali jedną z nieruchomości na peryferiach Warszawy wraz z wybudowanym tam już po wojnie, a teraz przeznaczonym do rozbiórki i co najważniejsze – zamieszkałym budynkiem. Lokatorzy, w większości w podeszłym wieku, sprzedani razem z cegłami, do nowych właścicieli nastawieni byli nieprzychylnie, wręcz wrogo, obawiając się, że zostaną wyrzuceni na bruk. Po przekonaniu się, że im to nie grozi, a w szczególnych przypadkach uzyskują umorzenie czynszu czy pomoc przy remoncie lokalu, witają serdecznie obecnych gospodarzy. „To dla nas ważniejsze niż te niewielkie kwoty otrzymywane z wynajmu” – mówi z radością w głosie Adam Rybiński.

Szczęście można odczuć, dzieląc się nim z innymi

„Ale nazwisko sobie pani wybrała” – z przekąsem stwierdziła jedna z urzędniczek legitymujących ludzi jadających darmowe obiady w stołówce dla najuboższych. Kontrole takie przeprowadzano tam dwa razy do roku, by stwierdzić, czy przypadkiem nie korzystają z posiłków ci, którym się już one nie należą, bowiem nazbyt się wzbogacili. Kobieta wypowiedziała te słowa, oddając dowód osobisty hrabiance Annie Branickiej. Zreflektowała się dość szybko i przeprosiła, ale było to dla hrabianki na tyle przykre przeżycie, że postanowiła więcej z państwowej dobroczynności nie korzystać. I gdyby nie jej matka, hrabina Beata z Potockich, rozsądnie argumentująca: „jak człowiek ma, to daje innym, jak nie ma, to bierze, co inni mu dają i nie ma się czego wstydzić”, pewnie pozostałaby przy swym postanowieniu, choć stan rodzinnych finansów przez minione miesiące nie uległ poprawie. Annie, jej matce i siostrze doskwierała bieda, ale gorsze, bo bardziej upokarzające, było zepchnięcie ich na margines społeczeństwa, traktowanie ich nawet nie jako obywateli n-tej kategorii, ale jako groźnych wrogów społeczeństwa. Gdy po trzyletnim sowieckim zesłaniu z radością wrócili do ojczyzny, poczuli się jak na zupełnie obcej ziemi, mimo iż znaczna jej część jeszcze kilka lat temu do nich należała. Nie tylko odebrano im wszystkie majątki, ale zabroniono nawet zbliżać się do nich, przebywać w ich okolicy.

Symbolem rodzinnego domu, szczęśliwego dzieciństwa był dla Anny Wilanów. Mimo więc zakazu i groźących ostrych sankcji niedługo po powrocie z ZSRR postanowiła się tam wybrać. Tego widoku – pałacu

i parku – potrzebowała jak powietrza. Pojechała tam z przyjacielem z dzieciństwa, którego ojciec był u hrabiego buchalterem i nadal mieszkał w dawnym służbowym mieszkaniu znajdującym się w pałacowej oficynie. Wieczorem w chustce zakrywającej niemal oczy zakradła się jak złodziej do swej rajskiej krainy. Serdecznie powitana przenocowała w oficynie, a uczucia, jakich doznała podczas tej konspiracyjnej nocy na zawsze pozostały w jej sercu i pamięci. Każdy kąt tego zakazanego teraz dla niej miejsca kojarzył się jej z konkretnymi zdarzeniami, równocześnie potęgując poczucie ogromnej, niezasłużonej straty. Anna była wówczas młoda, miała dwadzieścia kilka lat, wciągała ją terażniejszość, choć była nieprzyjazna. Dużo dotkliwiej odczuwała dziejową krzywdę jej matka. Pojechały kiedyś razem do Wilanowa na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Stały w kolejce jak wszyscy zwiedzający, kupiły bilety i z sercem w gardle zaczęły chodzić po swoim byłym domu. Dla hrabiny było to tak wielkie przeżycie, iż w pewnym momencie zrobiło jej się słabo. Przechodziły akurat obok krzesła, zwykłego współczesnego krzesła przeznaczonego dla pracownic czuwających nad porządkiem. Było puste, więc hrabina na nim przysiadła. Jak spod ziemi zjawiła się osoba z personelu i zrobiła im karczemną awanturę. Szybko i z dużym niesmakiem wyszły z pałacu. We własnym domu, z którym łączyło ją tyle wspomnień, dawna jego gospodyni i właścicielka nie mogła nawet chwilę odpocząć. Gdy we wrześniu 1944 roku wyrzucano ją z Wilanowa, dokładnie zamknęła drzwi do pałacu i wzięła ze sobą klucze w nadziei, że będą jej potrzebne, bo niebawem tam wróci. Teraz już takich złudzeń nie miała. Dla Anny sytuacja również była bolesna, ale wracała tam nie raz, bowiem miała dwóch synów i chciała, by poznali historię swych przodków. Ciekawa też była, co dzieje się z innymi warszawskimi nieruchomościami rodziców. Kiedyś pojechała na Służewiec, by zobaczyć, czy zagospodarowano usytuowane tam parcele. Kiedy chodziła po nieruszonych ręką człowieka polach, natychmiast wylegitymowana przez milicjanta otrzymała surowe ostrzeżenie: „Pani dobrze wie, że pani nie wolno się tu kręcić. Pani się musi wyprowadzić z Warszawy. Proszę w tej chwili stąd odejść, bo będzie pani miała poważne kłopoty”.

Poczucie więzi z konkretnymi miejscami, sentyment do przekazywanego z pokolenia na pokolenie rodzinnego dziedzictwa to jedno, ale myśleć też trzeba było o prozie dnia codziennego, zdobywać środki na życie. Skoro nawet nie wolno było zbliżać się do zawłaszczonych przez państwo nieruchomości, to nic dziwnego, że zamiar ich choć częściowego odzyskania zderzał się nie tylko z murem niechęci, ale wręcz z agresją. Anna wytypowana przez rodzinę jako pełnomocnik do załatwiania tych spraw nieraz była obrażana, znieważana. Co tu mówić o reakcjach zwykłych, szeregowych urzędników, skoro minister kultury, był nim wówczas Tadeusz Galiński, przyjął ją takimi słowami: „Z czym mi tu pani przychodzi? Niech się pani cieszy, że nie potraktowano pani jak Marię Antoninę”.

Mimo takiego traktowania wciąż trudno było Annie i jej rodzinie wyzbyc się zaufania do organów państwa i ich przedstawicieli, co można nazwać naiwnością albo przyzwyczajeniem do normalnych, europejskich standardów. Z ostatnich złudzeń w tym zakresie odarły ich kontakty z Józefem Cyrankiewiczem, ówczesnym premierem rządu, który nie dotrzymał danego, niestety bez pisemnego potwierdzenia, słowa honoru. Obiecał on mianowicie, że za wskazanie miejsca, w którym została ukryta w wilanowskich podziemiach kolekcja rodowych sreber (dziewięć skrzyń ze srebrną zastawą na siedemdziesiąt dwie osoby) rodzina odzyska ich część. Tymczasem wszystkie przedmioty zarekwirowano niaby na czas ekspertyzy, która trwała blisko dziesięć lat, po czym z łaski oddano rodzinie trochę zniszczonych, zdekompletowanych sztućców mieszczących się w jednej skrzyneczce. To było celowe, perfidne działanie władz. Przeciętny obywatel PRL-u poddawany ustawicznej antyszlacheckiej propagandzie (niezależnie od tego, czy jej ulegał) nie miał pojęcia o wartości tych wszystkich gromadzonych przez wieki przedmiotów. Anna do dziś ma przed oczami dziwacznie ubraną dziewczynkę spod warszawskiej wsi, której rodzice zobowiązali się do przechowania pewnych rzeczy. Stwierdzili, że wszystko popleśniało, porcelana i srebra też, więc musieli to wyrzucić. Dopiero po wyjściu od nich uzmysłowiła sobie, że bordowa, aksamitna sukienka dziecka z kołnierzykiem tkanym złotą nicią i guzikami z agatów uszyta została z kontusza jej ojca.

Te wszystkie straty były jednak niczym wobec dramatu, który przeżyła rodzina w niecałe trzy miesiące po upragnionym powrocie do Polski. Ojciec Anny – Adam Branicki – wrócił z zesłania z gruźlicą płuc i nowotworem. Prosto z warszawskiego dworca przewieziono całą grupę przybyłych razem arystokratów do aresztu na Pradze, gdzie ich przesłuchiwano, a ich fotografie wciągnięto do ewidencji. Wszystkich mężczyzn aresztowano, co u ledwie na nogach trzymającego się hrabiego, zwykle spokojnego, wywołało odruch sprzeciwu. „Nie, to niemożliwe! Ja nie pójdę do więzienia! Mogłem siedzieć u Rosjan, mogłem siedzieć u Niemców, ale z jakiej racji mam siedzieć u Polaków?!” Oczywiście protest taki nie został wzięty pod uwagę. Po około dziesięciu dniach hrabiego zwolniono, ale psychika wycieńczonego zesłaniem i chorobami człowieka znacznie podupadła, co odbiło się na radykalnym załamaniu jego, i tak już nadwątlonego, zdrowia. Jeszcze tylko tydzień przebywał z rodziną, po czym zabrano go do szpitala w Otwocuku, gdzie po miesiącu zmarł. Szóstego grudnia, na Mikołaja, w dniu, w którym zawsze wkładał swym bliskim niespodziewane prezenty pod poduszki, odbył się jego pogrzeb. Rodzina z uporem walczyła o to, by mógł spocząć w swym ukochanym Wilanowie. Determinacja w prowadzeniu tego boju sprawiła, że opór władz zmalął. Zezwolono na pochówek w krypcie rodzinnej tamtejszego kościoła św. Anny, ale pod warunkiem, iż uroczystość będzie skromna, bez nadawania jej rozgłosu. Rodzina wypełniła warunki umowy, myśląc, że ceremonia odbędzie się w ścisłym gronie najbliższych, tymczasem przed kościołem zebrały się tłumy. Bez klepsydr i zawiadomień pocztą pantoflową przyjaciele, znajomi, dawni pracownicy hrabiego i chłopci z okolicznych wsi dowiedzieli się o jego śmierci i przyszli go pożegnać, mimo że z pewnością wzięcie udziału w takiej uroczystości nie spotykało się z przychylnością rządzących. Anna cieszyła się, widząc tych ludzi, bo wiedziała, jak szczęśliwy byłby ojciec.

Osierocona (ojciec był dla swoich trzech córek nie tylko autorytetem, ale i przyjacielem), pozbawiona domu i wszelkich rodzinnych pamiątek, co sprawiało, że czuła się odcięta od przedwojennego świata, musiała teraz stawić czoła całkiem nowej, w dodatku wrogiej dla niej

rzeczywistości. Pozbawiona środków do życia nie miała pieniędzy nawet na piechotę albo – ryzykownie – na gapę. By zacząć zarabiać, musiała zdobyć jakiś zawód i to było podstawowe zadanie w tym czasie. Zamiar ten decydujący o jej bycie okazał się jednak niełatwy do zrealizowania. W peerelowskim świecie ziemianie, obok żołnierzy AK, byli ludźmi wykluczonymi z normalnego życia, a więc mieli także utrudniony dostęp do oświaty. Anna rozpoczęła batalię o wykształcenie rozsądnie – tylnymi drzwiami. Najpierw skończyła w Krakowie, gdzie krótki czas mieszkała, Prywatną Szkołę Przystosobienia Administracyjno-Handlowego. „Złe” pochodzenie nie stanowiło negatywnego kryterium przyjęcia do niej, ale czynnikiem wykluczającym Annę było chesne. Pomógł szczęśliwy zbieg okoliczności i ludzka życzliwość, z którą wielokrotnie w tych ponurych czasach się spotkała. Traf chciał, iż dyrektor szkoły znał sprzed wojny, jeszcze z panięskich czasów, jej matkę. Dzięki temu nie tylko mogła uczyć się bezpłatnie, ale dostała w prezencie książki, skrypty i zeszyty. Dyplom ze stenografii i maszynopisania uzyskała w czerwcu 1948 roku. Na jesieni tegoż roku udało jej się, co uznała za niezwykle uśmiech losu, zapisać na wydział socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po roku przeniosła się na Uniwersytet Warszawski, bowiem to jednak stolicę uważała za swoje miasto i chciała do niego wrócić. Na uczelni wykładało wielu znakomitych przedwojennych profesorów z Marią i Stanisławem Ossowskimi na czele, największymi autorytetami polskiej socjologii, dla których pochodzenie studentów nie miało znaczenia. Zdarzały się jednak postaci pokroju profesor Niny Assorodobraj, która podczas jednego z wykładów zwróciła się do przerażonej Anny: „Mamy tu właśnie przedstawicielkę takiej klasy (posiadaczy, wyzyskiwaczy, arystokracji), która została starta z powierzchni ziemi. Może ona nam opowie o swoim przypadku?”.

Nie lepiej było w kontaktach z kolegami. Omijali ją szerokim łukiem. W czasie przerw nikt z nią nie rozmawiał, a na wykładach z reguły siedziała sama. Wyglądało to tak, jakby obawiali się, że jest nosicielką jakiegoś groźnego wirusa. Dopiero kiedy po kilku miesiącach jeden ze studentów odważył się usiąść koło niej, atmosfera znacznie

się ociepliła. Ta na każdym kroku – zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie – okazywana wobec niej niechęć, to wyobcowanie, którego doświadczała w różnych środowiskach, ciążyło jej daleko więcej niżli brak własnego lokum i niedostatki finansowe. Z tym jakoś zaczęły sobie z mamą radzić. Sprzedały część ruin jednej z należących do rodziny kamienic, w której przed wojną mieściło się biuro ojca i za to hrabina urządziła sobie skromne mieszkanie. Anna znalazła schronienie u żony radcy prawnego, który przez wiele lat pracował u hrabiego. By zarobić na życie podejmowała się najrozmaitszych zajęć. Popołudniami, po wykładach, pracowała w bibliotece uniwersyteckiej, czas jakiś robiła na drutach berety i szaliki, które dostarczała do spółdzielni inwalidów. W warsztacie tkackim była szpularką, czyli zwijała wełnę, a przed tym na targach ją skupowała. Wszędzie zarabiała mizernie, ale cieszyła się i z tego, bowiem jako obywatelka gorszej kategorii nie miała szans na oficjalną, lepiej płatną pracę. Nagle pojawiła się szansa na coś przede wszystkim ciekawszego, bo co do wynagrodzenia nie miała jeszcze informacji. Jarosław Iwaskiewicz poszukiwał sekretarza. Po rozmowie kwalifikacyjnej wydawało się, że posadę ma w kieszeni. Jakież było jej zdziwienie i rozczarowanie, kiedy otrzymała od pisarza list, w którym sucho stwierdzał, że „sprawa objęcia u mnie stanowiska sekretarza stała się nieaktualna”. Pewnie zreflektował się, że zaangażowanie takiego sekretarza może być źle postrzegane przez władze. Rok 1954 uznaje Anna za pomyślny z zawodowego punktu widzenia. Przede wszystkim obroniła pracę magisterską z socjologii, a ponadto zdobyła wreszcie etatową pracę. Co prawda nie wiązała się z jej wykształceniem, ale była o wiele bliżej jej zainteresowań niż zwijanie wełny i miała inny status formalny. Zaczęła pracować w bibliotece Instytutu Badań Literackich. Pokonała początkową rezerwę zarówno dyrektora, który przywitał ją niezbyt dobrze wróżącym *dictum*: „Odkąd skończyłem szesnaście lat, walczę z takimi jak pani” – jak i pracowników. Zajęcie to przez kilka lat przynosiło jej stały dochód i zadowolenie.

„Mój Boże, byłeś tylko Ty żył i mnie przygarnął. Bez Ciebie nie ma dla mnie dróg, nie ma celów. Oj, Janusz, Janusz, jakże się boję o Ciebie, jak strasznie boję” – pisała w 1945 roku w swym pamiętniku Anna,

będąc na zesłaniu w Krasnogorsku. Dwudziestodwuletni (w 1943 roku) podchorąży AK był jej pierwszą wielką miłością. Trafił do Wilanowa po strasznych przeżyciach w więzieniu na Zamku Lubelskim i dochodził tam do zdrowia fizycznego oraz równowagi psychicznej. Pałac mimo ogromnych powierzchni mieszkalnych pękał wtedy w szwach, bowiem chroniło się w nim mnóstwo potrzebujących, uciekających, ukrywających się ludzi. Bywało, że do posiłków zasiadało trzydzieści osób, z których wiele dzięki gościnie hrabiostwa uszło z życiem. Jednym z nich był właśnie podchorąży z Krasnegostawu. Zakochali się w sobie wzajemnie, zaręczyli, snuli plany na przyszłość, ale czas wojenny sprawił, że szybko musieli się rozstać... Janusz po wielu akcjach osadzony został w obozie jenieckim w Skierniewicach i wywieziony do Niemiec. Anna, jak jej dwie siostry i matka, również zaangażowana była w konspiracyjną działalność i brała udział w ryzykownych przedsięwzięciach. Po długim areszcie domowym rodzina musiała opuścić pałac we wrześniu 1944 roku. Ostatni raz widzieli się z Januszem w Skierniewicach. Potem pozostały już tylko listy. I tego zabrakło, kiedy Branickich wywieziono do ZSRR. Tam właśnie miłość do przystojnego blondyna pomagała Annie przetrwać najcięższe chwile. Pisała do niego listy, których nie miała jak wysłać, ale które zamierzała mu wręczyć, gdy się znów spotkają. Do kraju wrócili dopiero jesienią 1947 roku. Wcześniej Janusz starał się dowiedzieć czegoś o losie ukochanej, ale nawet bliska rodzina niczego na ten temat nie wiedziała. Było już dwa lata po wojnie, istniało więc spore prawdopodobieństwo, że Anna, jak i reszta wywiezionych, nie przetrwała zesłania. Po wyzwoleniu z obozu jenieckiego młody podchorąży znalazł się we Francji. Stamtąd zawędrował do Włoch, gdzie dołączył do polskiej armii. Ze wszystkich miejsc, gdzie przebywał, słał listy do Polski, by dowiedzieć się czegoś o losie rodziny Branickich. Informacje, jakie otrzymywał, podpierane wieściami krążącymi po Europie o tym, jak w ZSRR traktowano zesłańców, załamały go psychicznie. Chciał wracać do Polski, ale nie uzyskał z wojska przepustki. W Vittorio Veneto, koło Treviso, został dowódcą plutonu ratowniczego. Tam poczuł się nieco rażniej, bowiem spotkał kilku znajomych z powstania warszawskiego. Siostra jednego

z nich została jego żoną. Kiedy we wrześniu 1947 roku, wkrótce po powrocie do kraju, Anna dostała od niego list, w którym uczciwie donosił o swoim związku, świat przestał dla niej istnieć. Ból i rozczarowanie były ogromne, ale w obliczu śmiertelnej choroby ojca, szybko zeszyły na drugi plan. W takim przypadku rzecz by można nieco prowokacyjnie, iż dobrze jest, kiedy nieszczęścia chodzą parami. Poza tym musiała teraz twardo stąpać po ziemi i zmobilizować wszystkie siły, by walczyć, nie mniej twardo i nieustępliwie niż na zesłaniu, o przeżycie. Nie zmienia to faktu, iż do losu, który przyniósł okrutną wojnę, miała prawo mieć pretensje, że pogrzebał całe jej dotychczasowe życie we wszelkich jego sferach i przejawach. Była jednak wytrwała i mimo wszystko pełna optymizmu. Taką postawę przejęła od matki. Hrabina nigdy nie narzekała i zawzięcie szukała rozwiązań każdego, nawet – wydawałoby się – beznadziejnego problemu. Po wielu przeprowadzkach również zamieszkała w Warszawie. Przez czas jakiś pracowała w fabryce, jak i jej najstarsza córka, a gdy zaczęła podupadać na zdrowiu i przeszła na niezwykle skromną rentę inwalidzką, nie skarżyła się, tylko zaczęła czynnie kibicować życiu córek. Konsekwentnie, niemal od powrotu do kraju, opiekowała się także najstarszym wnukiem, Adasiem.

Anna zakochała się po raz drugi, lecz tym razem uczucie przerodziło się w trwały związek. Skromny (na taki wówczas było ich stać) ślub kościelny wzięli z Tadeuszem w 1954 roku w kościele św. Aleksandra. Cywilny odbył się rok później w Urzędzie Stanu Cywilnego mieszczącym się u zbiegu ulic Nowy Świat i Smolnej, w ich dawnym pałacyku odebranym oczywiście przez państwo. Przekraczając jego próg, Anna nie mogła oprzeć się wspomnieniom opowiadanych wielokrotnie przez mamę, jak to właśnie tam prowadził ją po raz pierwszy hrabia, by poznała swych przyszłych teściów. Zatwierdzenie związku przez cywilne władze było niezbędne, by mogli starać się o przydział mieszkania. Otrzymali dwa przechodnie pokoje, dzieląc czteropokojowe mieszkanie z dwiema innymi rodzinami. Na drzwiach wspólnej łazienki (kuchnia też należała do wszystkich) wywiesili za ogólną zgodą grafik porannego użytkowania pomieszczenia. Każdy mógł w nim przebywać dziesięć minut. Na początku po rosyjskich doświadczeniach Annie

wszystko wydawało się luksusem, z czasem obydwójce coraz bardziej odczuwali niedogodności takiego bytowania. Po trzech latach wystarli się o mieszkanie już w pełni samodzielne. Co prawda nie było tam centralnego ogrzewania, ale byli tak uradowani, jakby wprowadzili się do pałacu wielkości Wilanowa. Po 1956 roku, kiedy restrykcyjność perelewskich rządów nieco osłabła, udało się Annie odzyskać i sprzedać niektóre z działek należących przed wojną do rodziny i zafundowali sobie prawdziwy luksus – połowę willi na Mokotowie. Znow jednak nie byli sami, gdyż kupili dom z dwiema lokatorkami. Jedna niebawem się wyprowadziła, ale drugiej po kilku latach musieli kupić kawalerkę.

Anna zrezygnowała z pracy, kiedy urodził się ich pierwszy syn – Mikołaj. Gdy jej mama wychodziła za mąż, oczekiwano od niej, że urodzi potomka płci męskiej, kontynuatora rodu Branickich, ale na świat przyszły trzy córki. Teraz w pokoleniu następnym zaczęli rodzić się chłopcy. Pierwszy był syn Beaty, najmłodszej z hrabianek, a po nim – Mikołaj i Xawery – dzieci Anny i Tadeusza. Annę pochłonęło wychowywanie latorośli i życie rodzinne tak dalece, że nie myślała już o powrocie do pracy. Tak jak to działo się w Wilanowie, prowadzili dom otwarty, pełen krewnych, kuzynów i przyjaciół, a przede wszystkim dziecięcego śmiechu. Anna znow poczuła się szczęśliwa. Kiedy jednak synowie podrośli, zaczął jej doskwierać brak pozadomowych zajęć, chciała być pomocna nie tylko rodzinie. Odżyło w niej przekonanie, powtarzane często przez rodziców, że szczęście nosi się w sobie, ale można je odczuć, tylko dzieląc się nim z innymi. Hrabiosstwo całe życie starali się robić coś pożytecznego dla innych i teraz Anna postanowiła iść w ich ślady. W PRL-u brakowało wszystkiego, ale najbardziej dotkliwe, bo decydowały przecież o życiu, były niedostatki w służbie zdrowia. Anna włączyła się więc w akcję sprowadzania z Zachodu lekarstw i sprzętu medycznego, czym zajmował się też niestrudzenie Mikołaj Radziwiłł. Dzięki tym działaniom i ofiarności ludzi z Francji, Szwajcarii, Niemiec, Belgii, Włoch, USA... zaczęły do Polski docierać transporty lekarstw, strzykawek jednorazowych, środków opatrunkowych, narzędzi chirurgicznych, wózków inwalidzkich, łóżek szpitalnych, z aparaturą do dializ włącznie. Segregowanie i rozdzielanie tych darów odbywało się w kościele

św. Stanisława Kostki na Żoliborzu, gdzie Anna poznała księdza Popiełuszkę i w kościele św. Zygmunta na Bielanach. Później, już w latach 80., przychodziło także dużo paczek z odzieżą i tym także trzeba było się zająć, więc Anna w specjalnie przydzielonym dla tych celów lokalu często spędzała całe dni. Dzięki anonimowemu przekazaniu pokaźnej kwoty od kogoś z zagranicznych znajomych powołano Fundację Świętego Jana Jerozolimskiego, której prezesem został Mikołaj Radziwiłł. W kupionej za przekazane środki willi na Saskiej Kępie najpierw znalazł miejsce punkt rozdawania ubrań, leków i środków czystości, a później założono w niej świetlicę środowiskową dla dzieci z trudnych rodzin. Do dziś ta placówka jest drugim domem dla potrzebujących różnorakiego wsparcia małoletnich warszawiaków. Anna przystąpiła również, na zaproszenie z ich strony, do Związku Polskich Kawalerów Maltańskich, których zasadniczym celem jest pomoc najuboższym, i starała się jak najrzetelniej wywiązywać z obowiązków, które niosła ze sobą ta zaszczytna przynależność. Była też współzałożycielką Związku Sybiraków. Jako że sama spędziła na zesłaniu przeszło dwa lata, los ludzi o podobnych jej przeżyciach leżał jej na sercu. Zyskali oni miejsce, gdzie nie tylko mogli się spotykać, ale i – kiedy było trzeba – otrzymać realną pomoc. Znalazła się również wśród inicjatorów powołania, a raczej reaktywowania zlikwidowanego przez komunistów Polskiego Towarzystwa Ziemiańskiego, w którym skupili się ludzie z grupy szczególnie zażadle tępionej przez władze PRL-u.

Hrabianka Anna, jedyna do dziś żyjąca córka hrabiostwa Branickich, przeszła bardzo różne koleje losu. Zaznała bogactwa i luksusu, ale też biedy i poniżenia, mimo to uważa swe życie za udane, wręcz szczęśliwe. Patrząc wstecz, przychyła się do przekonania przodków o tym, iż wszystko jest ulotne, a to, co najważniejsze, co stanowić może w każdych warunkach podporę egzystencji, co tkwi w człowieku, to sumienie, uczciwość, charakter, siła i wiedza. Każdy z innym darem przychodzi na świat i najważniejsze, by ów prezent od losu właściwie wykorzystał. Przekonana jest również o tym, iż wykonanie tego zadania jej by się nie udało, gdyby nie spotkała na swej drodze – i to w odpowiednim momencie – dobrych, wspaniałych ludzi. W czasach,

kiedy jadła darmowe obiady i nie korzystała z komunikacji miejskiej, gdyż nie miała pieniędzy na bilety, niespodziewanie otrzymała przekaz pocztowy na pięćset złotych od profesora Sławińskiego z Białegostoku, przedwojennego znajomego rodziny. W dołączonym liście profesor wyjaśniał, że kwotę tę wręczył mu jego były student, któremu hrabia Branicki pomógł finansowo podczas wojny, gdy był w sytuacji, wydawało się, bez wyjścia. Przyszedł wtedy sobie, że taką samą sumę odda kiedyś komuś potrzebującemu. Przypadkiem dowiedział się, że rodzina hrabiego jest w tarapatkach, więc...

Anna Branicka-Wolska
rodzice: *Maria Beata Potocka*
i *Adam Maria Branicki*



Szczęśliwa mama dwóch synów (Mikołaja i Xawerego) – na czas ich dzieciństwa zrezygnowała z wszelkiej pozadomowej działalności.





W Wilanowie bywała Anna

jako zwykły, zwiedzający pałac turysta. W głębi duszy marzyła, by wrócić do swego domu.

Anna dumna z Tadeusza

otrzymującego tytuł doktora honoris causa Akademii Rolniczej w Lublinie, 1998.



Zwykły dom na warszawskim Mokotowie musiał zastąpić pałac.

Radość z bycia razem

Poznali się w Wilanowie podczas rodzinnego ślubu w 1940 roku. On wysoki, szczupły dziewiętnastolatek z drobnej szlachty o artystycznych talentach ranny był już w bitwie nad Bzurą, ale mimo to nadal zamierzał walczyć z okupantem. Wysportowany zdobywał laury w wielu zawodach pływackich, dobrze grał na gitarze, śpiewał i tańczył, co sprawiało, że chętnie był widziany w każdym towarzystwie, zaskarbiając sobie sympatię wielu co urodziwszych panien. „...Dominowały w niej oczy. Duże, niebieskie, prowokująco pytające – jaki ty właściwie jesteś nieznany mi bliżej dryblasie?...” – tak opisywał w swych wspomnieniach pierwsze spotkanie z o pięć lat młodszą, niewysoką, pulchną hrabianką, pieszczotliwie nazywaną „Kuleczką”, o ciepłym, dobrotliwym uśmiechu, którym chętnie obdarzała każdego. Jak większość ówczesnych panien z jej sfery grała na fortepianie, śpiewała i uwielbiała tańczyć. Upodobanie to dzieliła z dopiero co poznanym młodzianem, nic tedy dziwnego, że właśnie od tańca rozpoczęła się ich przygoda, jeśli tak mało frasobliwym terminem określić można wspólne, pełne dramatycznych wydarzeń, ale i szczęśliwych zbiegów okoliczności, nędzy, poniżenia, ale także wielu chwil radosnych życia. Ta miłość od pierwszego wejrzenia musiała zostać zaakceptowana przez rodziców Beaty, skoro Leszek zamieszkał w pałacu.

Należał już wówczas do Armii Krajowej, nosząc pseudonim „Pat” i oprócz uczestniczenia w akcjach mających na celu zdobywanie broni przypadło mu w udziale wykonywanie wyroków na kolaborantach i najbardziej dających się Polakom we znaki Niemcach. Ona, jak jej matka i dwie siostry, także działała w konspiracji. Oprócz tego w pałacu

zorganizowano szpital polowy, który mógł istnieć dzięki zagranicznym koneksjom hrabiostwa. Ich kuzynka, Maria Radziwiłłowa z Nieświeża z domu Branicka, mieszkająca stale w Rzymie, zaprzyjaźniona była między innymi z królową Włoch, księżniczką Heleną Czarnogórską i ta wymogła na Mussolinim interwencję u Hitlera w sprawie szczególnego traktowania Branickich. Pozwolono więc im nadal zajmować część pałacu i nadmiernie nie kontrolowano, z czego korzystali, by pomagać wszystkim potrzebującym. Hrabia sprzedawał nieskonfiskowane jeszcze działki budowlane, a pieniądze przeznaczał na potrzeby Armii Krajowej, takie jak wykup więźniów czy pomoc rodzinom ofiar niemieckiego terroru. Hrabina karetą z rodowym herbem przewoziła broń i żołnierzy rannych po akcjach, a gdy nieopatrznie została zatrzymana, posługując się nienagannym niemieckim, pewnym tonem z aktorsko artykułowanymi wyrzutami besztala żołnierzy hitlerowskich. Pod jej łóżkiem wiele miesięcy przechowywano karabin maszynowy. Była odważna, ale umierała ze strachu, kiedy hrabia ostentacyjnie prezentował swoją nienawiść do okupantów. Tak było, gdy któregoś dnia w pałacu zjawili się oficerowie niemieccy z zamiarem poznania jego właściciela. Nie wiedzieli, jak wygląda, więc gdy stojąc przed hrabią, o niego zapytali, odpowiedziało im wymowne milczenie. Pytanie powtórzyli w kilku językach, sądząc, iż napotkany człowiek go nie rozumiał. Po ponownym, przedłużającym się milczeniu i rozpaczliwych gestach przerażonej małżonki hrabia wycedził dwa słowa: „Ergo sum” i wyszedł. Nic dziwnego, że mimo interwencji kuzynki z wysokimi koneksjami trzykrotnie w czasie wojny więziony był na Pawiaku.

Najstarsza z hrabianek, Maria, pierwszego sierpnia 1944 roku przywiozła na teren gminy Wilanów rozkaz rozpoczęcia powstania o wyznaczonej godzinie „W”. Następnego dnia zgodnie z zaleceniem swego dowódcy udała się wozem do pałacu po pozostawioną tam broń i środki opatrunkowe. Tam została aresztowana przez Niemców i na ich oczach zjadła meldunek, który miała ze sobą. Anna też w tym czasie z jakimś akowskim zadaniem znalazła się w Wilanowie. Sytuacja wyglądała bardzo groźnie, bowiem hrabina, nosząca konspiracyjny pseudonim „Matka”, zawisnąć miała na bramie pałacu. Uratował ją batalion „Krawiec”,

na którego czele stał narzeczony Anny. Dzięki sprzyjającym okolicznościom, na które złożyło się wezwanie stacjonujących w majątku żołnierzy do tłumienia powstania i zastąpienie ich przez oddział Węgrów, nikomu nic się nie stało, tylko dwie hrabianki z matką przetrzymywane były w areszcie domowym, a potem wywiezione do Nieborowa.

W tym czasie sanitariuszka Beata, pseudonim „Atka”, była w Śródmieściu w szpitalu przy ulicy Boduena, a oddział jej ukochanego dołączono do batalionu „Zośka” walczącego na Starym Mieście i Woli. Byli rozłączeni i nie wiedzieli nic o sobie nawzajem. Beata nosiła przy sobie zdjęcie Leszka, mając nadzieję, iż spotka kogoś, kto go widział. Powoli traciła nadzieję, że w ogóle się odnajdą. I oto pierwszego września, kiedy była już bliska odejścia od wiary w Boga, do którego wciąż modliła się o utrzymanie Leszka przy życiu i spotkanie z nim, dowiedziała się od kolegi z „Zośki”, że ukochanego przywieziono do szpitala, w którym pracowała. Włosy do ramion, pokaźna broda, twarz wymizerowana, ale to był on, żywy, choć ciężko ranny. Początkowo wydawał się nieprzytomny, ale gdy Beata nachyliła się nad nim, poznał ją i przytulił jej rękę do swojej twarzy. Był to czas, w którym nie mogli być pewni, czy to cudowne spotkanie nie będzie ostatnim. Postanowili więc jak najszybciej wziąć ślub. Beata uprosiła księdza, by w jej imieniu poprosił o zgodę jej ojca. Miała dopiero siedemnaście lat i obawiała się odmowy. Ze Smolnej czterdzieści, gdzie przebywał wówczas hrabia Adam, wrócić musiał kapłan z dobrą wiadomością, skoro już trzeciego września odbyła się niecodzienna uroczystość. Pan młody leżał na noszach, a jego narzeczona nie przebrała się z białego szpitalnego fartucha. Ozdobą ich obojga były powstańcze opaski na ramionach. Był nawet prezent ślubny – cały bochenek chleba, który wręczyli parze koledzy z oddziału przed powrotem na swoje pozycje.

Po upadku powstania małżonkowie, nie mogąc wrócić do Wilanowa, dotarli do Podkowy Leśnej, gdzie mieszkali rodzice Leszka. Potem przedarli się do Nieborowa i tu (to kolejny na ich drodze szczęśliwy zbieg okoliczności) spotkali wywiezione tam Annę i Marię z matką. Radość trwała jednak krótko, gdyż mieli sygnały, iż wokół nich robi się niebezpiecznie i jak najszybciej powinni zmienić miejsce pobytu.

Wyjechali więc do Łodzi, co miało dla nich pozytywne konsekwencje, bowiem grupę z Nieborowa wywieziono niebawem w głąb Rosji. W Łodzi znaleźli schronienie w pałacyku należącym do rodziny ich kolegi z powstania, ale i tam pętla wokół nich się zacieśniała. Przenieśli się więc do Krakowa, gdzie za pieniądze uzyskane ze sprzedaży nieodebranych jeszcze przez państwo działek mogli kupić mieszkanie przy ulicy Sienkiewicza. Wilanów już upaństwowiono, ale nadal działała jego dawna administracja, która nie tylko wypłacała sobie pensje, ale szybko sprzedawała, co mogła, by na dłużej starczyło dla niej środków. Jakąś ich część otrzymali też Beata i Leszek. Starczyło na niewielki lokal, ale na dalsze życie już nie, tym bardziej, że na świecie pojawiło się ich pierwsze dziecko – syn Adam, a po roku córka Ewa. Pod przybranym nazwiskiem Rowińscy zaczęli szukać pracy. Pochodzenie i akowska przeszłość były kulą u nogi, a poczucie nieustannego zagrożenia ze strony wciąż mających ich na oku funkcjonariuszy NKWD powodowały stres, który udzielał się również synkowi. Do dziś powraca w jego snach przerażająca ciemność i nagły tupot wielu nóg. Pamięta też instrukcje rodziców, według których, kiedy przyjdą obcy panowie, ma krzyczeć głośno, że chce być z rodzicami i zabrać ze sobą pluszowego kangura, którym normalnie nie wolno było mu się bawić. Po latach dopiero okazało się, że nie były to wymysły zestresowanych ludzi po przejściach, ale Leszek był pilnie obserwowany, gdyż nie tylko zarzucano mu „bandycką” przeszłość, ale także działalność w grupie „Raclawice”, która dążyła do obalenia ustroju PRL. W Instytucie Pamięci Narodowej zachowało się szesnaście listów pisanych przez Beatę i Leszka, które były przepisywane przez ówczesnych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. W pamięci małego Adasia pozostały również obrazki wspólnych modlitw o szczęśliwy powrót wywiezionej rodziny i mamy piszącej wieczorami listy do Buni, których nigdy nie wysłała. To samo robiła zresztą hrabina Maria Beata na zesłaniu. W mieszkaniu przy Sienkiewicza często nie było nic do jedzenia, ale atmosfera miłości i poczucie zadowolenia, że są razem, rekompensowały wszelkie niedostatki. Na szczęście w Krakowie ostało się jeszcze trochę zaprzyjaźnionych z rodziną ludzi. Profesor Tadeusz Mańkowski, sprawujący

wówczas pieczę nad wawelskimi zbiorami, zatrudnił obydwój Rybińskich. Beata oprowadzała turystów po Wawelu, a Leszek jeździł po Polsce z wystawami objazdowymi. Mały Adaś nie mógł, tak jak jego mama, wychowywać się w Wilanowie, za to kilka lat wczesnego dzieciństwa spędził na Wawelu. Beata często zabierała go do pracy i kiedy ona wędrowała z wycieczkami po kolejnych komnatach, on smacznie spał w łożu na przykład króla Zygmunta Starego.

Kilkakrotnie docierały do nich niemające związku z prawdą wiadomości, że rodzina wróciła już z Rosji. Leszek wybrał się nawet kiedyś do obozu internowanych pod Poznaniem, gdzie jakoby miała przebywać. Nic więc dziwnego, iż z dużą nieufnością odnieśli się do telegramu, który dotarł do nich z Warszawy. „Rodzina «Atki» wróciła. Są u nas na Katowickiej” – donosiła jedna z ciotek. Pociąg wydawał się wlec w nieskończoność, a gdy byli już u celu, Beata nie chciała wejść do domu, obawiając się, że to znów fałszywy alarm. Najpierw zobaczyła siostry, które w jej oczach niewiele się zmieniły, a gdy popatrzyła w górę, u szczytu białych schodów ujrzała wymizerowaną, jakąś znacznie mniejszą i niezdrowo kruchą mamę. Pozostał w niej właściwie tylko ciepły, serdeczny dla każdego uśmiech. Trzymając się w ramionach, płakały ze szczęścia, a ich wzruszenie udzieliło się całemu otoczeniu. Wymieniły się też listami, które systematycznie do siebie pisały przez cały czas rozłąki, nie wiedząc nic wzajemnie o sobie i nie wysyłając ich z obawy, że wpadną w niepowołane ręce, a szansa dotarcia ich do adresatki jest znikoma. Dwa dni później na Katowickiej, wypuszczony z więzienia, pojawił się hrabia Adam. W starym, wyświechtanym mundurze, blade i chudy do granic możliwości stanął w progu i radośnie, jak dawniej, zawołał: „Putka”. Po gorącym powitaniu, wiedząc z listu dostarczonego przez Czerwony Krzyż, iż urodził mu się wnuk, z pewnym zażenowaniem i nieśmiałością zapytał: „Mam nadzieję, że syn wasz nie ma na imię...” – zawiesił głos i badawczo patrzył w oczy córki... „Tak, właśnie ma na imię Adam” – zawołała z radością i przekorą Beata. Hrabia nie śmiał niczego narzucać, ale w głębi duszy bardzo na to liczył. To była jego ostatnia radość na tym świecie. Z zesłania wrócił z rakiem płuc i choroba błyskawicznie opanowywała całe ciało.

Niecały miesiąc później zmarł w szpitalu w Otwocku, nigdy nie zobaczywszy swego imiennika.

Trzy lata później Rybińscy przeprowadzili się do Warszawy. Gdy wybuchła wojna, Leszek był na czwartym roku Szkoły Handlowej, ale teraz odezwały się w nim geny przodków (jego pradziadek Juliusz Cegliński był znanym malarzem i grafikiem) i zaczął studiować historię sztuki. Równocześnie pracował w Zachęcie, gdzie przez krótki czas był nawet kierownikiem działu, ale szybko go zdegradowano z racji na pochodzenie i kategoryczną odmowę wstąpienia do PZPR. Z czasem podejście teoretyczne do sztuki przestało mu wystarczać i zaczął malować. By mógł to robić oficjalnie i traktować zawodowo, musiał jednak mieć dyplom Akademii Sztuk Pięknych albo otrzymać zezwolenie uprawnionej komisji, czego wciąż z oczywistych powodów mu odmawiano. Zajął się więc plastyką użytkową, głównie tkaniną i dekoracją sklepów, z czego udawało mu się jakoś utrzymać rodzinę, która powiększyła się o drugą córkę. Dzięki słynnemu archeologowi profesorowi Kazimierzowi Michałowskiemu Beata otrzymała etat sekretarki w zakładzie archeologii Polskiej Akademii Nauk. Praca ta bardzo jej odpowiadała między innymi dlatego, iż miała kontakt z ciekawymi, pochłoniętymi wspólną pasją ludźmi. Obydwoje byli towarzyscy, mieli szeroki krąg znajomych i przyjaciół, którzy wywodzili się najczęściej ze środowiska akowskiego, naukowego i artystycznego.

Cały czas zaangażowani byli w działalność opozycyjną. Blisko współpracowali z księdzem Janem Zieją, jednym z założycieli KOR-u i ROPCiO*. W pracowni Leszka robili klepsydry, na których znajdowały się zawiadomienia o nadchodzących, uroczyste przez te środowiska obchodzonych świątach narodowych i rocznicach najważniejszych wydarzeń historycznych. Z zapasem takich anonsów jeździli po całej Warszawie i rozlepiali je, często pod osłoną nocy, by informacje dotarły do jak największej liczby osób. Leszek nie doczekał wolności, mógł tylko cieszyć się z powstania „Solidarności”. Zmarł w południe dziewiątego sierpnia 1980 roku. To data znacząca w jego życiu, bowiem również

* ROPCiO – Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela założony w 1977 r. (przyp. red.).

w południe i dziewiątego, ale września był ranny w powstaniu i trafił do szpitala, w którym pracowała Beata. Rana była poważna, kuli nie dało się wyjąć i nosił ją do końca życia, ale czuł się wtedy ocalony cudem. Był bardzo wierzący i stale przestrzegał żonę i dzieci, by nie wątpili, a wtedy na pewno spotkają się po tamtej stronie tęczy. Beacie wraz z odejściem męża zawałił się cały świat. Nie umiała i nie chciała żyć bez niego. Wciąż pisała do niego listy i modliła się o to, by jak najszybciej za nim podążyć. Pomimo tego niesprzyjającego normalnemu funkcjonowaniu nastrojowi nie była obojętna na to, co działo się w kraju. Z domu wyniosła przekonanie, że w takich sprawach nie można być biernym. Tak samo myślały jej siostry. W czasie stanu wojennego u Marii w Milanówku była drukarnia, Anna przechowywała osoby zagrożone aresztowaniem, a ona w swym mieszkaniu przy Filtrowej prowadziła punkt kolportażu prasy podziemnej. Angażowała się również w wiele akcji społecznych, których celem była pomoc konkretnym ludziom. Cieszyła się, że jej dzieci także związane są z „Solidarnością”. Rozdawała im oporniki, symbol sprzeciwu wobec władzy, a podczas Wigilii, która zawsze u niej się odbywała, przy każdym nakryciu leżała odbitka rysunku Matki Bożej wykonanego kiedyś przez Leszka. Po świętach każdy nosił ją przy sobie w przekonaniu, że chronić go będzie przed nieszczęściami. Pewnego dnia Beata opowiedział synowi, że w nocy, która poprzedzała śmierć Leszka, śniła łąki pełne przepięknych kwiatów. Podobny sen nawiedził Adama przed odejściem matki. Zmarła w południe dziewiątego sierpnia, osiem lat po rozstaniu z ukochanym mężem, wierząc do końca, że właśnie wyrusza na spotkanie z nim.

Beata Branicka

rodzice: Maria Beata Potocka i Adam Branicki

Leszek Rybiński

*rodzice: Irena Maria Szałowska
i Władysław Marcei Rybiński*



Miłość Atki i Leszka zrodziła się na przekór otaczającej ich rzeczywistości, Wilanów, 1943...



... **i trwała przez całe** ich małżeńskie **życie**, Warszawa, 1958.

Razem pracowali
na Wawelu,
Kraków, 1948.



Dochowali się
trójki dzieci
i wnuków –
Leszek Rybiński
z wnuczką
Marią Beatą.



